NUMER 35. DNIA 28. WRZEŚNIA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI.

NA AKROPOLU.*)

Akropolisu wysmukłe kolumny
Na teraźniejszość patrzą się ze wzgardą.
Choć potrzaskane, wzrok rzucają dumny
Na barbarzyńcę, który stopą hardą
Ich kadzielnice deptać śmie — rumianki,
Wieńczące świątyń zburzonych krużganki.

Ach, Akropolu zczerniałe marmury
Dawne a piękne pamiętają wieki.
Świątynie jego, wielkiej sławy córy,
O tej przeszłości dumają dalekiej,
Co Peryklesy wydała, Fidjasze —
I dotąd w podziw wprawia czasy nasze.

Inniśmy dzisiaj, inne nasze dzieje...
Duchy przeszłości! Wybaczcie mi, proszę,
Że z Nimfą moją wchodząc w Propyleje,
Do siedzib waszych uśmiech życia wnoszę,
Ale z jej oczu gwiazd biją promienie,
Rozpraszające wszystkie mgły i cienie.

Idziemy. Nike, zwycięstwa bogini,
Ma tu na wstępie przybytek uroczy,
Który z marmuru grecka dłoń-mistrzyni
Wzniosła, by twoje dziś zachwycał oczy!...
Lecz teraz gwiazdy te, luba, zwróć ku mnie
I przy tej jońskiej spocznijmy kolumnie.

Spojrzyj! Przed nami znów łagodne wzgórza,
Słońce się kąpie w lazurowej fali...
Uwierzysz?... Kiedy tak płoniesz, jak różą,
Myślę, żeśmy się tutaj już kochali,
Że przed wiekami może, jak w tej chwili,
Już z upojenia czary tuśmy pili.

Możeś ty wtenczas była róża dzika,
Ja — głóg, jak dzisiaj — zakochany w tobie.
Może wiernego ręka niewolnika
Na bohatera sadziła nas grobie,
Gdzie w innej formie, lecz zawsze ci sami,
Łączyliśmy się, jak dzisiaj, sercami.

A może — ptaki dwa — bujając społem,
Wzbijaliśmy się nad Grecji błękity.
Może duch z duchem lub anioł z aniołem,
Albo z promieniem promień złotolity...
Nie wiem, lecz czuję, że już, jak anieli,
Tuśmy raz kiedyś w przelocie spoczęli.

A za tą chwilą dusza tak tęskniła,
Jak za jasnością duchy potępione.
Ach, byt nie jeden, nie jedna mogiła
Przeszły, nim los mnie przywiódł znów w tę [stronę
I dał z tą straszną rozstać się żałobą.
Na chwilę krótką znów mnie łącząc z tobą.

* * *

Po Partenonie błądzimy, jak duchy,
Pragnące znaleźć dawne życia ślady.
Szukamy. Kroków naszych łoskot głuchy
Płoszy grzejące się na słońcu gady.
Wąż wśród rumianków jest tu ogrodnikiem,
Lecz go nasz widok spłoszył. Uciekł z sykiem.

Dorychich kolumn szereg runął w gruzy,
Wśród których dzikie panoszy się zielsko.
Ach, teraźniejszość ma tu twarz Meduzy
I pokłębione w zwojach wstrętnych cielsko.

*) Z poematu p. t. „Na greckiej fali“.

Potwór to, stokroć od powietrznej trąby
Gorszy: na cudy sztuki rzuca bomby.

Idziemy. Znowu jaszczurki wystrasza
Odgłos mych kroków, dźwięczących grobowo.
Widzisz to miejsce? Tu niegdyś Fidjasza
Atene z mądrą, bystrooką sową
Czuwała wiernie nad potęgą miasta,
Co, jak kwiat, pod jej skrzydłami wyrasta.

Tutaj kapłani, starzy srebrnowłosi,
Śpiewali hymny, składali ofiary.
Z kadzielnic dym się kłębami unosi,
Leje się wino z ofiarniczej czary,
A lud, pokłony bijąc, swej bogini
Śnieżne gołębie niesie, śluby czyni.

Chodźmy. Te gruzy smagają mnie biczem
Wyrzutów, chociaż nie spełniłem winy.
Przeszłość z nich takiem spogląda obliczem,
Że pod jej wzrokiem czasów naszych syny,
Jeśli z nich który tu, wśród ruin gości,
Muszą się swojej rumienić nicości.

Erechtejonu smukłe karjatydy
Wabią nas wdziękiem i pogodą grecką.
Tu nas opuszczą wyrzuty i wstydy,
Co z Partenonu gnały nas zdradziecko,
Przeszłości widmem dręcząc wyobraźnię.
Stąpamy znowu swobodnie i raźnie.

I znów mi dobrze! Znów serce przenika
Radość, że z tobą po tej ziemi chodzę,
Żem ciebie, na kształt złotego promyka
Znalazł na życia beznadziejnej drodze,
Żeś mi tak cudnie ozłociła chwile
Ostatnie może, nim legnę w mogile.

Lecz nim się ciało rozpadnie w atomy,
A duch w bezkresnym zawiśnie przestworze,
Czas Akropolu stok opuścił stromy.
Zachodzącego słońca złote zorze
Rzucają znowu odblask na lazury
Wód i na białe miasto u stóp góry

Tam na ruinach gród zakwitnął młody
I śle nam uśmiech przez słońca promienie.
Od Konstytucji placu na plac Zgody
Wiją się smoka ludzkiego pierścienie.
Widać królewski pałac, ogród — słowem:
Świat nowożytny w otoczeniu nowem!

Postęp... Lecz — niech to słowo innych wzrusza!
Odwracam oczy na sąsiednie wzgórze:
Kolumn starego chramu Tezeusza
Zmódz nie zdołały wszystkie wieków burze,
Ani zagłuszył tej skargi Arjadny,
Opłakującej kochanka czyn zdradny.

Dosyć! Już słońce za górami gaśnie...
I nam powracać czas na ziemski padół.
Ukołysały nas prastare baśnie,
Więc rozmarzeni spuszczamy się na dół.
Od Akropolu ruin jeszcze niesie
Echo westchnienie smętne: „Peryklesie!“...

MAURYCY HARTMANN.

KRÓLEWNA.

Z NOTATEK TURYSTY.

(Dokończenie.)

— Dom O'Neilów wygaśnie wkrótce — rzekłem.

— Tak — odparła mi obojętnie Honnora — dom lordów, ale nie ród O'Neilów. Jest ich tysiące, tu i w Antrim. Nas samych jest czworo: ojciec, dwóch braci i ja.

— A twoja matka, miss, czy jest z innej rodziny?

— Nie, odparła. — Moja matka była też z domu Ulster, tylko już nie żyje. Cztery lata temu był wielki głód i umarła — dodała głosem smutnym. — Wtedy i bracia musieli iść z domu, — poszli...

— Dokąd? — zapytałem.

— Nie wiem — odparła posępnie. — Za wodę — dodała, wskazując ręką w kierunku jeziora.

— Za ocean?

Spojrzała na mnie uważnie.

— Może — odparła sucho — nie wiem...

W tej chwili usłyszeliśmy wołanie. Ktoś wzywał Honnory, która też wybiegła. Poszedłem za nią na próg chaty i ujrzałem po drugiej stronie zatoki lokaja w liberji, wspaniale wyglądającego. Wołał na

Honnorę, aby mu przyzwała ojca, ta mu pokazała ręką na jezioro. Ponieważ w tem miejscu właśnie wpadał do zatoki dość znaczny i huczący potok, więc trudno było przy wietrze przeciwnym zrozumieć słowa wygalonowanego jegomości. Honnora okazywała ruchem niecierpliwość i krzyczała, że go nie rozumie. Nie mogli się dogadać, więc lokaj wzruszył ramionami i zawrócił się. Honnora była w rozpaczy.

— Ach! wszyscy święci Erynu! — zawołała — co to będzie! Pewno chciał zamówić ryby na przyszły tydzień. Nie będzie teraz co jeść wcale.

Biegła wzdłuż brzegu zatoki za lokajem, który odchodził drugą stroną; nagle powzięła przedsięwzięcie. Rzuciła się w wodę, a ja krzyknąłem, ale nie było czego, gdyż dziewczyna umiała pływać, jak dzika kaczka i mimo silnych fal potoku, płynęła w prostym kierunku do przeciwnego brzegu. Pyszny lokaj, widząc to, zatrzymał się łaskawie i bez najmniejszego wzruszenia czekał na nią, aż dopłynęła tak blizko, że mogła go słyszeć i stanąć na nogi, mając tylko wody do pasa. Wypowiedział jej wtedy głośno swoje żądanie, na które Honnora odpowiedziała skinieniem głowy, i poszedł sobie dalej, a ona, odpocząwszy parę minut, zawróciła się ku domowi, i płynąc tak szybko, jak pierwej, stanęła u brzegu. Podszedłem, aby jej podać rękę. Woda ciekła strumieniem z odzieży, jeżeli odzieżą można nazwać strzępy, które ją okrywały, a ona, podnosząc na mnie wzrok spokojny, rzekła wesoło, że master Jeffs, jak przewidywała, obstalował u niej ryby do zamku.

— Gdybym nie była poszła po rozum do głowy — dodała — byłby pewno zamówił je u O'Sullivana, który mieszka z tamtej strony wody. Coby mi był wtedy powiedział ojciec!... Cobyśmy byli robili tydzień cały!...

Mówiąc to, wróciła do chaty i siadła przy ogniu.

— Oschnę niezadługo — rzekła z uśmiechem, przecież siedząc, zamyśliła się wkrótce i odezwała po chwili z poważną twarzą:

— Gdyby tylko udało się ojcu złowić co porządnego dziś, lub jutro. Od trzech dni Czarna Woda jest okrutnie sroga.

— Czy jezioro nie jest rybne? — zapytałem.

Potrząsnęła smutnie głową.

— Święty Patryk pobłogosławił je wprawdzie, — rzekła — jego wody leczą chorych, ale ryb co dzień jest mniej a mniej... Coraz to gorzej, a starzy ludzie powiadają, że to już tak jest od czasu, jak tu są Anglicy. Mówią, że za świętego Patryka, za panowania O'Neilów dość było sięgnąć ręką do jeziora, a złapało się zaraz wielką rybę jaką.

Mówiła o tem, jak gdyby o rzeczy, która miała miejsce dziesięć, dwadzieścia lat temu i na zakończenie skarg swoich zwróciła wzrok melancholijny na kociołek z szaroburą zupą.

— Ryby, które się tam gotują — rzekła — już mają pięć dni. Od tego czasu nic się nie ułowiło.

Patrzyłem na nią i widziałem, że wilgoć zaczyna działać, że zaczynają przebiegać ją dreszcze. Nie radziłem, aby się przebrała, gdyż wiedziałem, że rada byłaby niemożliwą do wykonania, mimowoli przecież wyraziłem obawę, aby nie zachorowała.

— Nie — odparła mi ze słodkim uśmiechem, i podniósłszy starą sieć, którą naprawiała, gdym wszedł, owinęła się nią, jak szalem. Wyglądała w tym stroju jak Aslauga, królewna z sagi skandynawskiej, która na wygnaniu w pustyni miała jedynie sieć za strój cały.

— Nie byłoby mi tak zimno — rzekła naiwnie Honnora O'Neil — gdybym była dziś jadła cośkolwiek. Chciałam przecież z tą zupą poczekać na ojca, ale widać popłynął daleko na jezioro.

Przypomniałem sobie o zapasach, w jakie zaopatrzyła mnie oberżystka z Belfast, właścicielka gospody pod *Złotym pługiem*. — Sir — rzekła mi przezornie — Antrim to czysto irlandzka mieścina, w której nie znajdzie się nic stosownego dla *gentlemana*. Weź pan w torbę podróżną ten pakiet, a podziękujesz mi za to... Otóż ów pakiet stanął mi teraz w myśli, gdy biedna królewna legendy irlandzkiej przyznała mi się, że nic nie jadła od wczoraj. Przekonałem się wkrótce, że zawierał w sobie to wydoskonalenie saksońskiej skibki chleba, którą Anglicy zowią *sandwiches*. Rozłożyłem swoje skarby przed Honnorą O'Neil i prosiłem bardzo grzecznie, aby mi zrobiła przyjemność podzielenia się ze mną śniadaniem.

Wyciągnęła natychmiast chciwie rękę, ale zdołała szczęśliwie powstrzymać się w żądzy głodu, i wzięła jedną tylko skibkę z przyzwoitą godnością. Skosztowała i zawołała zadziwiona:

— Ależ to mięso!...

— Tak, miss, — odparłem — sądzę, że ci smakować powinno.

Miała minę zachwyconą.

— Ach! — rzekła biedaczka — bardzo lubię mięso, a jak żyję nie jadłam nic tak smacznego...

Więc też podawałem jej wciąż, prosząc, aby była łaskawa jeść. Dla zachowania pozoru wspólnego śniadania, gryzłem niby jedną kromkę chleba,

i raz wraz odwracałem się, patrząc ku drzwiom, aby jej ułatwić przybieranie sobie nowych skibek W miarę jedzenia apetyt tak przychodził niebodze że wkrótce cały zapas zniknął.

— Ach! — rzekła wtenczas wesoło — to ja zjadłam prawie wszystko... Alem nigdy nie miała takiej biesiady. — Gdzie to przyprawiają takie dobre rzeczy — zapytała.

— W Belfast — odparłem.

— A... w Belfast — rzekła — tam mieszkają bogacze... Ale to są sami Anglicy — dodała ze smętnie poważną minką.

Otwierając torbę, zauważyłem, żem tam włożył od przypadku duży fular czerwony, wyjąłem go zatem i ofiarowałem biednej królewnie, prosząc grzecznie, aby go przyjąć zechciała.

— Miss O'Neil — rzekłem — niech to będzie pamiątką, zostawioną ci przezemnie, pamiątką moich odwiedzin i chwil, razem spędzonych..

— Ach! jakie to miłe w dotknięciu! — zawołała, głaszcząc ręką tkaninę — jakie to miękkie! Zrzuciła prędko sieć i zawiązała sobie fular na szyi. — Nigdym nie miała takiej pięknej chustki... mówiła — nigdy...

Nagle spojrzała na mnie.

— Jaki pan jesteś dobry — rzekła i wyciągnęła do mnie rękę. Biedna drżała ze wzruszenia, a mnie przejmowała serce litość głęboka, gdym patrzał na tę młodą, łagodną, dobrą istotę, skazaną na ciężkie przeznaczenie okrutnej nędzy, skazaną na więdnięcie bolesne wśród srogich męczarni głodu, i to z wieczną myślą o królewskiej krwi w żyłach, Było to gorzkie szyderstwo losu, to też niewypowiedzianie smutny, ścisnąłem biedną rączkę zimną, schylając się z uszanowaniem. Ona, zadumana, stała przedemną, spuściwszy melancholijnie pełną wdzięku główkę i milczeliśmy oboje. Aż na raz biedną dziewczynę dotknęła, jak gdyby iskra nagłego natchnienia.

— I ja coś ci dać mogę! — zawołała wesoło, biegnąc w głąb chaty, gdzie przez chwilę czegoś poszukiwała. Wróciła wkrótce rozrumieniona, niosąc kilka błyszczących kawałków kryształu górnego. Rybacy znajdują te świetne kamienie na dnie jeziora, niekiedy kosztowniejsze nawet opale i sprzedają je zwiedzającym jezioro gościom po kilka pensów, jako pamiątkę z Laugh-Neagh. Honnora rozłożyła przedemną kosztowności swoje, prosząc, abym je zabrał.

— Dobrze — rzekłem mojej wdzięcznej dawczyni — dobrze... Wezmę je, Honnoro, na pamiątkę ręki, która mi je daje, ale wiem, że jest zwyczaj, aby płacić te rzeczy gotówką.

— Już zapłaciłeś, sir — odrzekła mi — dałeś mi tę piękną chustkę jedwabną, dałeś mi jeść...

— Nie — odparłem — jedliśmy razem, a to dałem tobie. Ale powinienem zapłacić twemu ojcu. Czyż, Honnoro, nie przyjmiesz odemnie jednej białej sztuki?

Patrzyła na mnie w milczeniu, aż spojrzawszy mi na rękę, zawołała:

— Pół korony! sir, ach! pół korony!

Cofnęła się w tył cała zmieniona. Jej oczy błyszczały w dziwny sposób, było w nich pragnienie wielkie i strach prawie takiego wielkiego majątku. Ręce, które trzymała z początku skrzyżowane na piersiach, opadły; wyciągała je i cofała, szepcąc z cicha:

— Pół korony!...

Scena ta sprawiła mi niewypowiedzianą przykrość, a pieniądz palił mi palce, schyliłem się też i położyłem go na pieńku, gdzie niedawno siedziała Honnora O'Neil, a ona zwróciwszy tam oczy, została przecież nieruchomą, jak gdyby wrośniętą w grunt, na którym stała. Aż naraz ozwał się za nią gruby głos męski, powtarzając, jak echo, słowa biednej dziewczyny: *Pół korony!* Obróciłem się i ujrzałem wysokiego, chudego rybaka z siecią na ramieniu, który, patrząc na córkę, posunął się żywo w stronę ogniska. Ja drgnąłem, cofnąłem się w bok, przeszedłem mimo i nie odbierając jego ukłonów, wymknąłem się z chaty.

* * *

W parę tygodni potem byłem w Szkocji, zwiedzałem góry *Highland*, położone w jej zachodnich okolicach. Dzień był tym razem pogodny, i przy blaskach pysznego słońca okrążałem czarowne jezioro Loch-Fine, przewyższające jeszcze w dzikiej piękności i wspaniałości urozmaiconej, sławne wody Loch Lemond. Wprawdzie jest to więcej zatoka morska, niż jezioro, zatoka wązka i długa, jak rzeka, przenikająca krętemi zawrotami w głąb gór, już to ujęta w ramy skał dzikich, już płynąca wśród lasów zielonych. Dzięki tej szczególności jeziora ryby i statki morskie są tu niesione z morza przez odpływ i przypływ fal, i ukazują się nagle w okolicy, która tak ci niczem morza nie przypomina, że możesz przypuścić, iż jesteś o sto mil od niego. Przecież mimo okrętów, mimo podnoszenia się i opadania fal, Loch Fine wydaje się między górami niby ciche, samotne jezioro leśne. Szczególniej jego kończyny są niewymownie malownicze. Lasem okryte wyżyny, góry, zarosłe sosnami i dębami od-

wiecznymi, twórzą po nad niem niby koronę zębatą, — polanki, zamienione w najpiękniejsze łąki, otwierają widok w głąb lasów, a murawa, spuszczając się po pochyłościach, dochodzi aż do wody. Tam i ówdzie jakaś rozkoszna dolina, zamknięta turnią skalistą, albo zaciągnięta w głębi zieloną zasłoną drzew odwiecznych, przysyła toniom jeziora huczące wody górskiego potoku. Niegdyś był to również kąt ziemi dzikiej, nieurodzajnej, dziś przemysł i praca człowieka zrobiła z przerażającej pustyni — raj.

Słońce już było nad lasami, wieńczącymi brzeg zachodni jeziora, gdy postępując drogą, ciągnącą się wzdłuż wody, zbliżałem się do miasteczka Inverary, starej stolicy *klanu*. — Port Inverary mieścił w tej chwili nie jeden statek, już to kupców z Glasgowa, już rybaków poławiaczy śledzi, którzy na pokładach swoich pozapalali ogniska. Inne statki przybywały z południa, korzystając z przypływu i spieszyły, rozwinąwszy wszystkie żagle. Parowiec wracał z wycieczki spacerowej do groty Fingala.

Mrok się robił, gdym dochodził do Inverary. Okolice miasteczka są prześliczne, las bowiem otwiera się nagle i twofzy wielką polanę, w której głębi wznosi się wspaniały zamek w stylu normandzkim, a cztery jego wieżyczki z pięknemi blankami zwrócone są na cztery strony świata Gotyckie okna były oświecone z jednej strony przez blaski zachodu, z drugiej przez odbicie wód jeziora. Ostatnie promienie słońca ozłacały również samotną wieżę, która, wznosząc się ponad lasem, zdawała się czuwać nad zamkiem i okolicą całą. Aleje olbrzymich dębów prowadzą wprost z zamku do lasu, otaczającego dokoła ogromny trawnik polanki. Zdawało się wśród zmroku, że zasłona gazy zapada nad temi wszystkiemi wspaniałościami, to też przypomniałem sobie, że depcę po ojczystej ziemi Ossjana.

Chcąc obejrzeć lepiej zamek i park, złożyłem prędko w hotelu bagaże podróżne i zwróciwszy się znowu ku pysznej polance, wstąpiłem pod tajemnicze cienie drzew starożytnych. Na nieszczęście słońce już było tak nizko, żem mógł zaledwie raz rzucić okiem na przepiękny widok, niknący zwolna w ciemnościach, jak widzenie senne. Przed chwilą przedmioty były oblane purpurowem powietrzem, teraz otaczała je ciemność; dębowa ulica z śliczną perspektywą wesołych wzgórzy zdawała się nagle zamknięta bramą czarną. Nad głową słyszałem głuchy szum skrzydeł: wielkie ptaki, sępy, sokoły, orły może wracały do swoich gniazd na wyżynach. Zwróciłem się ku zamkowi, który wyrasta niejako z ziemi, odgrodzony jedynie rowem od leśnej łąki, po której postępowałem. Lekkie schody żelazne prowadziły z dwóch stron na piętro górne, dolne było równe z ziemią (sutereny). Mały kanał ciągnie się od jeziora do samych wrót zamkowych, które nieraz kąpią fale przypływu morskiego, jacht parowy w każdej chwili gotów do odpłynięcia, stoi umocowany przy ganku zamkowym, czekając na rozkaz pana i dziedzica, księcia Argyle.

Noc już zapadła, gdym się zbliżył do zamku, a ciszę mąciło jedynie pluskanie wody o statek, szum liści, a niekiedy krzyk jakiegoś leśnego ptaka. Głosy majtków, podnoszących kotwicę w porcie Inverary dochodziły mię przyciszone, oparłem się o poręcz nad fosą zamkową i patrząc w gotyckie okno, widziałem wielką komnatę pierwszego piętra, słabo oświetloną lampą, przy której świetle rysowała się postać bardzo młodego panicza z książką w ręku. Długie jasne włosy były odrzucone w tył i spadały mu obficie na ramiona, podług zwyczaju szkockiego, sprzeczającego się z modą angielską. Czytał z wielkiem zajęciem, a ta piękna głowa z twarzą o delikatnych rysach, ożywiona wpływem zajmującego czytania, przedstawiała obraz niepospolity. Cała istota młodzieńca miała na sobie ten sam charakter piękności, jaki rozpościerał się dokoła nad zamkiem, lasem i okolicą.

Młodzieńcem był książę Argyle. Przebywa on często w samotności swego starożytnego domu; przodkowie jego władali niegdyś krajem, jako naczelnicy klanu, dziś czasy się zmieniły, przecież tradycja żyje w sercach ludu i szacunek moralny, który otacza młodego księcia, czyni go dotąd moralnym wodzem stron jego rodzinnych. Używa on rozumnie ogromnego majątku, ożywia kraj przemysłem i daje mu dobrobyt. Obfitość też panuje w tym zakątku ziemi, który tak ozdobił bogactwem swego przepychu, że przepych ten składa świadectwo o artystycznym guście młodego pana. Jest to pan prawdziwy, bo wola jego ma skrzydła: jacht czekający u drzwi zamkowych może go przenieść w kilka godzin do Glasgowa lub Liverpool, na morze. Jednem słowem wszystko, co chwała przeszłości, majątek, rozum, serce i pojęcie piękna może wytworzyć czarownego, — wszystko znalazłem razem zgromadzone w tej pysznej dziedzinie Inverary, z godzinę też dumałem wsparty o balustradę — dumałem i czyniłem porównania... Myślałem o Czarnej Wodzie i Honnorze O'Neil...

Dokoła ruin w Czchowie.

W podgórskiej okolicy nad Dunajcem, niedaleko Melsztyna, leży starożytne miasteczko Czchów, a na wzgórzu odosobnionem obok miasteczka wznosi się stara baszta, wysokości 25 m., okrągła w dolnej części, a która od połowy wysokości miała kształt ośmiokątny (tego ośmiokąta teraz już niema, ponieważ jest już zwalony). Część dolna nie ma żadnego otworu ani wejścia, w części wyższej znajduje się otwór wchodowy. Średnica wieży wynosi 13 m., grubość muru części dolnej 2 m. Baszta ta jest resztką zwalisk starożytnego zamku w Czchowie, z którego dzisiaj już nic więcej nie pozostało. Na jednym z dokumentów miasta Czchowa z roku 1544 dochowała się jeszcze pieczęć z wyobrażeniem zamku o dwu basztach, jednej wysokiej w środku i jednej niskiej po prawej stronie.



RUINY ZAMKOWE W CZCHOWIE.

Początki miasta nie są znane; istniało ono już przed Kazimierzem Wielkim, który je otoczył murem i prawo niemieckie nadał. Zamek sięga odległej starożytności i według tradycji już za Bolesława Chrobrego miał tu stać gród drewniany, jako stróż nad drogą Dunajca, przypuszczalnie zbudowany (według Morawskiego) przez jeńców czeskich, skąd nazwa „Czchów“. Najdawniejszy pewny ślad zamku odnosi się do XIII. wieku. W dokumentach średniowiecznych jest już wzmianka o kasztelanie czchowskim, Przecławie, w roku 1229. W tym więc czasie zamek niewątpliwie już istniał, prawdopodobnie jako gród, strzegący doliny rzecznej Dunajca, będącej naturalną drogą do Węgier. Tą drogą szlak handlowy szedł również na Węgry z Krakowa i do Nowego Sącza. Jako ważniejszy punkt handlowy na podgórzu, było miasto stolicą powiatu, starostwa niegrodowego i mniejszej kasztelanji, a pod koniec XIV. wieku miało sąd ziemski, który się mieścił w zamku. W XIV. i XV. wieku spotykamy często burgrabiów i kasztelanów czchowskich. W roku 1501 król Olbracht kazał ściąć Eljasza, syna Piotra, wojewody wołoskiego za zgwałcenie przymierza z Polską. W wieku XVI. osiadł w Czchowie Franciszkanin, spowiednik królowej Bony, który w czasie szerzenia się nauki Kalwina w Polsce, wysłany przez Zygmunta Augusta za granicę dla zasięgnięcia rady co do możliwej reformy religji w Polsce, porzucił zakon i przyjąwszy nową naukę, wrócił do Polski, a osiadłszy w Czchowie, stał się szerzycielem arjanizmu i tu zbór arjański założył. Ciekawym przyczynkiem do historji miast w Polsce jest wiadomość z XVI. wieku o jakimś Tomaszu z Bochni, który własnym kosztem urządził kanały i wodociągi w Czchowie, za co wynagrodzony został przez Zygmunta I. dochodem podatku miejskiego. W XVII. wieku zamek zaczął podupadać, a baszty zamkowej używano w ostatnich czasach Rzeczypospolitej, jako więzienia dla przestępców, odsiadujących karę (*in fundo*). Za czasów Stanisława Augusta zamek czchowski znajdował się w bardzo opuszczonym stanie, tak że król kazał go odrestaurować na pomieszczenie sądów i archiwum, ale restauracja do skutku nie przyszła. W roku 1748 starostwo czchowskie było w posiadaniu Pawła i Zofji Grabowskich. Grabowscy ci odkupili potem od rządu austrjackiego dobra starostwa napowrót w roku 1781. Po pierwszym rozbiorze Polski zamek czchowski był już ruiną, która za czasów austrjackich powoli przybrała dzisiejszą postać.

Józef Bronicki.

Z obcej niwy.

(Ciąg dalszy.)

To, czego nie było, maluje nam towarzystwo, rozprawiające o istocie świata i życia; przyczem każdy ma odmienne zdanie. Jest tu żuk, mrówka, ślimak, gąsienica, pasikonik i dwie muchy: wszystko to zasiadło na nawozie i filozofuje. Cała ta filozofja ginie pod butem Antona, który tu przyszedł po nawóz. — Spór tych różnych stworzeń, — to rozbicie dzisiejszej społeczności na oderwane jednostki, rozstrzelenie dążeń, pragnień, myśli i uczuć; niemożliwość porozumienia, pomieszanie języków. I póki jakaś brutalna siła nie strąci tych stworzeń w nicość, póty nie znajdą one drogi właściwej.

To rozdwojenie krytyczne ludzkich dusz nie jest rzeczą przypadkową; źródłem jego jest przeważnie egoizm i kłamstwo życia. Rozum stworzył to kłamstwo i serce z niem walczy, ale na drodze tej walki leży niemoc, zwątpienie — i obłęd.

Czerwony kwiatek — jest historją człowieka o gorącem sercu, który nie znosi cierpienia bliźnich; nie mogąc znaleźć środków do zwalczenia zła — człowiek ten traci grunt pod nogami. Zdrowy sąd miesza się u niego z bredzeniem gorączki. Kłamstwo przyjęło dla niego postać wszechświatowego zła, a szukając jego wcielenia — znalazł je w czerwonym kwiecie maku, którego barwa przypomina krew i którego ziarna zawierają w sobie opjum. Należy mieć kolosalne siły, aby to zło zwyciężyć: owóż człowiek ten znalazł w sobie tę siłę, i wyrwał bohatersko trzy kwiatki maku czerwonego — i spokojnie umiera, że zło wytępił na świecie.

Okres, w którym wystąpił Garszyn, był to czas demokratycznego „narodniczestwa“, ale poeta już przeczuwał koniec tego pokolenia i malował nowych ludzi — niepewnych drogi swojego żywota. Jednakże serce jego było jeszcze po stronie narodników: ich ideały uważał Garszyn za ucieczkę i zbawienie. Tak w noweli Artyści maluje on dwóch malarzy: jeden wierzy, że sztuka istnieje sama dla siebie i przez siebie, jako cel i środek — i spokojnie a z wielką pewnością ducha, pracuje nad swemi płótnami; drugi zaś nie może sobie wytłómaczyć celu i racji bytu sztuki i ostatecznie zostaje nauczycielem ludowym. Zakończenie to wydaje się nam niefortunnem i niezgodnem z całą działalnością Garszyna, choć może autor ukrył tu pewną myśl ironiczną, jak to uczynił w Czerwonym kwiatku. Rozdwojony artysta, któremu sztuka zdaje się chłodną, ludzkich cierpień nie usuwa, znajduje czerwony kwiat w braku oświaty i tam swe wysiłki skierowywa. Zanotujemy jeszcze nowele, jak Sygnał, Spotkanie, Oficer i ordynans, Niedźwiedzie, Dumny Aggej i inne.

Przedwczesna śmierć utalentowanego pisarza przerwała jego piękną twórczość. Melancholja jego duszy, rozlana po wszystkich nowelach — była to melancholja okresu rozczarowań, jakim był czas po r. 1881 w Rosji i gdzieindziej.

Włodzimierz Korolenko (ur. 1853) jak widać z nazwiska, jest pochodzenia małoruskiego — i jako południowiec odznacza się barwnym i żywym kolorytem; jest on melancholikiem i pessymistą, ale melancholja jego ma jakiś charakter czynny, a rozpacz Korolenki jest spokojna, na cuglach poniekąd utrzymana, słowem, kulturalna. Trzeba dodać, że matka Korolenki była Polką ze szlachty wołyńskiej, że do szkół chodził w Żytomierzu i Równem i że tym zapewne wpływom, jak i swemu nierosyjskiemu pochodzeniu zawdzięcza on swoją kulturę. W 1870 r. ukończył gimnazjum w Równem, które opisał w swej pierwszej noweli Złe towarzystwo. Później wstąpił do szkoły technologji w czasie najgorętszego rozkwitu idei rewolucyjnych w Rosji; Korolenko był ich wyznawcą. Pierwsze jego prace literackie odnoszą się do r. 1877—8, a do tegoż czasu odnoszą się jego wygnania polityczne. Gub. Wołogodzka, potem Wiatska, Tomsk, Perm, wreszcie Jakuck były coraz dalszymi etapami zsyłki Włod. Korolenki. — W r. 1885 powrócił z ziemi Jakutów i ostatecznie oddał się literaturze. — A. M. Skabiczewskij — krytyk i dziejopis najnowszej literatury rosyjskiej, stawia Korolenkę na czele nowej generacji talentów. Dopóki nie wystąpił Gorkij, było to prawdą, ale ten go przewyższył o całe niebo. Do pewnego stopnia obaj pisarze jeden świat widzą i opisują, świat włóczęgów (bosaków), katorżników, wygnańców, ale Korolenko opisuje ich jako szlachcic, książkowy człowiek, spektator; Gorkij jako brat, jako swój, jako ten sam właśnie bosak i włóczęga... Korolenko na wygnaniu żył z bosakami, miał dla nich teoretyczne współczucie i opisywał ich z boku. Korolenko, choć niedobrowolnie, zjeździł Rosję wzdłuż i wszerz i prócz nauki miał szeroką obserwację i doświadczenie; w jego nowelach masz stepy wołyńskie, bory Polesia, tajgi sybirskie, puszcze Sachalinu: wieśniacy małoruscy, nędzarze sybirscy, aresztanci, brodjagi, jakuty, mieszańcy półrosyjscy, pół-tunguzi, sekciarze — wszystko to w barwach plastycznych i wyrazistych. Autor jest

objektywny, epicki; rzeczy jego odznaczają się harmonją i spokojem artystycznym; przytem ma on wiele humoru i dowcipu.

Złe towarzystwo, to wspomnienia z Równego. W miasteczku był niegdyś zamek jakichś polskich hrabiów, którzy podupadli; zamek opustoszał i stał się siedzibą różnych włóczęgów bezdomnych. Autor maluje kilka typów tych włóczęgów. Bohaterem jest tu chłopczyk, którego matka umarła; — ojciec jego, sędzia, tak się oddał rozpaczy, że przestał zajmować się dziećmi, a ponieważ te potrzebowały jakiegoś serca, zaczęły go szukać. Pan Tyburcy Droba mieszkał w zamku z dwojgiem dzieci, Walkiem i Marusią, w głodzie i nędzy, syn sędziego ze swą siostrzyczką zaczęli ich odwiedzać i pokochali się. Gdy się ojciec o tem „złem towarzystwie“ dowiedział, nastąpiła burza domowa i dopiero pan Tyburcy (typ człowieka zdeklasowanego) rzecz wyjaśnił. (C. d. n.)

A. Wrzesień.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Wilhelm Bölsche. Pochodzenie człowieka.* Warszawa „Bibljoteka samokształcenia“. 1904. Nowo powstałe czasopismo niemieckie, pod starą, wypróbowaną nazwą „Kosmos“, wydawane obecnie przez towarzystwo przyjaciół przyrody, daje swoim członkom, których ilość wynosi już około 2000, jako premjum, rozmaite popularne wypracowania, na tematy najbardziej interesujące; w roku pierwszym swej działalności, ofiarowuje 5 tomików, a mianowicie: 1. Pochodzenie człowieka, Wilh. Bölsche'go. 2. Koniec świata, Dr. Wilh. Meyer'a. 3. 4. Czy zwierzę ma rozum, Dr. Th. Zell'a. 5. Stworzenie świata, Dr. Wilh. Meyera.

Pierwszą z tych książeczek popularnych mianowicie: Pochodzenie człowieka, wydała w języku polskim, w przekładzie p. Izy Moszczeńskiej, redakcja „Bibljoteki samokształcenia“.

Wilhelm Bölsche znany jest w Niemczech jako bardzo dobry popularyzator i doskonały znawca bieżącej popularnej literatury. Jego dziełło „Ernest Haeckel“ (ein Selbstbild), jest znakomite, również dobre jest dziełko popularne, o którem mowa.

Autor w przedmowie swojej powiada, że każdy człowiek, który pragnie być uważany za istotę myślącą, powinien się zapoznać z zarysem współczesnych naukowych badań o pochodzeniu człowieka. Rzeczywiście. Cóż nas bardziej obchodzić może, jeżeli nie wiadomość o własnem pochodzeniu; tylko wiedza dokładna o sobie samym, o rozwoju i ukształtowaniu swego ciała i duszy, może nas wyleczyć z tysiąca przesądów i wierzeń dziecinnych; tylko tą drogą pozbyć się możemy najfatalniejszego i najszkodliwszego błędnego przekonania o możebności cudów na świecie. Postęp moralności społeczeństwa jest nierozwiązalnie połączony ze świadomością o pochodzeniu człowieka, dlatego też ukazanie się dziełka popularnego, w tłumaczeniu polskiem, traktującego o tem ważnym przedmiocie, powitać musimy z największem uznaniem, życząc, ażeby się ono znalazło w rękach każdego z naszych ziomków.

Dr. B. Dybowski.

Aus dem Reiche des Mikado und die asiatische Gefahr von Bresnitz von Sydačoff. Leipzig 1904. str. 87. Broszura ta, napisana lekkim stylem fejletonowym, przedstawia w sympatycznem oświetleniu stosunki Japonji i zbija tendencyjne twierdzenia o niebezpieczeństwie żółtej rasy dla Europy. Autor dowodzi, że tego rodzaju alarmy podniosła prasa, przekupiona rublami rosyjskimi, aby wzmocnić tyły Rosji w walce z Japonją. Europie zagraża niebezpieczeństwo żółtej rasy jedynie w razie zwycięstwa Rosji, gdyż w takim razie Rosja, opanowawszy kraje azjatyckie, może posłużyć się zbrojnemi hordami Azjatów do ujarzmienia całej Europy i do panowania nad całym światem. Japonja więc walczy w obronie kultury europejskiej a jeśli zdoła stawić czoło potędze caratu, odetchną swobodniej narody, podbite przez Rosję, zwłaszcza Polacy i Finlandczycy.

Książkę czyta się z zajęciem, jakkolwiek zawiera zbyt wiele rzeczy dobrze znanych.

NOTATKI. *Z zapisków o starej kulturze.* Niedawno pomieszczony był w *„Kurjerze lwowskim“* fejleton podający w sposób krótki i sumaryczny niektóre fakty odnoszące się do przeszłości lwowskiego ogrodu t. z. „pojezuickiego“. Ze stanowiska historji kultury specjalnie lwowskiej może ciekawym jeszcze będzie fakt, że od najdawniejszych czasów służył ten ogród za miejsce przyjęcia i bankietów, urządzanych na cześć dygnitarzy, przybywających różnymi czasy i w różnych sprawach do Lwowa. Między innymi przyjmowało miasto uroczyście w ogrodzie jezuickim kanclerza i hetmana wielkiego koronnego *Jana Zamojskiego,* który w pierwszych latach wieku siedmnastego bawił we Lwowie, razem z bratem Zygmuntem III. ks. Magnusem. Również każdoczesnego nowego arcybiskupa podejmowano ucztą w ogrodzie jezuickim. Długoletnią tradycję bankietową posiada także lwowskie bractwo strzeleckie, które mieściło się za czasów Rzeczypospolitej za bramą krakowską i posiadało wyłączny na cały Lwów przywilej utrzymywania kręgielni. W ogrodzie strzeleckim, obok zwykłych i oficjalnych uczt, odbywały się też bankiety na cześć różnych osobistości. Ta żyłka bankietowa pozostała do dziś w społeczeństwie lwowskiem, gdzie też najmniejsza w tym kierunku okazja należycie bywa wyzyskiwaną.

Pomyłka druku. W Nr. 32 „Tygodnia“ w artykule „Sprawa józefa Kapuścińskiego“ nazwisko kata mylnie zostało wydrukowane co do pisowni: pisze się ono — jak nas zapewniają ze strony kompetentnej — Górski, nie zaś: Gurski.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.